

*Meliny są po to, by mogła istnieć instytucja ciotek. A ciotki znów stworzyła Opatrzność na dowód, że kobieta może być aniołem. Wszystkie, ile ich było, młode i stare, wszystkie były aniołami dla „ptaszek”.*

*Drogie ciocie! Niejedną z Was może przeczyta te słowa. Miał sławić ogrom Waszego trudu i poświęcenia, ptaszki ślą Wam dziękczynne słowa. Cokolwiek powiedzielibyśmy dziś o Was, będzie zbyt skromne w stosunku do Waszej pracy i serca.*

*Gorącą wdzięcznością obdarzają wszyscy spadochroniarze również płk. Stanisława Swobodę-Lubczyńskiego, szefa komórki „Importu”. Jego to zapobiegliwości i troskliwej opiece zawdzięczają, że aklimatyzacja odbywała się szybko i sprawnie.*

*Więc choć dobrze było pod opieką ciotek, wyfruwaaliśmy do prawdziwej roboty, na przydziały, by spełnić cel naszej podróży.*

**NIECH BOZIA** Wypadek, o którym chcę wspomnieć, zdarzył się na początku naszej, tzn. „Mikity” i mojej pracy w Warszawie, kiedy jeszcze nie umieliśmy „chodzić”, nie mówiąc już o znajomości przeróżnych sposobów unikania niebezpieczeństwa. Przyswoiliśmy je sobie dopiero grubo później. Przygód takich zresztą mieliśmy — później — doświadczyć jeszcze wiele.

**WYNAGRODZI**

**D Y M**

Mikita pełnił funkcje szefa Lotnictwa Obszaru Warszawa. Ja w owym czasie byłem szefem technicznym dowódcy lotnictwa przy Komendzie Głównej AK. Widywałem się często, wiele bowiem spraw, zwłaszcza w okresie początkowym, musieliśmy uzgadniać. Do tej pory nie umiem wytłumaczyć sobie faktu, dlaczego Mikita nie powędrował wówczas od razu na Pawiak, lecz „ślizgał się” jeszcze przez długi czas. Pracę miał ciężką: organizował, szkolił i inspekcjonował swą „komórkę”. Zginął pierwszego dnia Powstania, zabrany wraz z „Oporem” przez Gestapo z domu przy ul. Polnej 36.

Właśnie Mikita jest bohaterem tego opowiadania. Szkoda, że już go dziś nie ma, przedstawiłby bowiem opisane tu zdarzenie żywo i z humorem, który go nie opuszczał nawet w najcięższych i najniebezpieczniejszych okolicznościach.

W pierwszej połowie marca 1943 r., po południu, wracaliśmy z egzaminu na kursie mechaników lotniczych, zorganizowanym przez szefostwo lotnictwa Obszaru Warszawa.

Egzamin odbywał się tak, jakby to były czasy normalne. Chwilami zdawało się, że jestem na egzaminie w pułkowej szkole mechaników lotniczych. Od czasu do czasu tylko wchodził do sali jakiś chłopak i meldował, że na zewnątrz jest spokój. To przypominało rzeczywistość. Zanotowałem i drugi objaw niecodzienny, nawet w czasach przedwojennych: wszyscy kandydaci, a było ich 24, odpowiadali nadzwyczaj dobrze, w pełnym przekonaniu, że wiadomości zdobyte na kursie pozwolą im na możliwie najlepsze wypełnienie obowiązku żołnierskiego. Byli to ochotnicy, przeważnie młodzi chłopcy, rekrutujący się w dużej mierze z rodzin robotniczych. Świadomi niebezpieczeństwa, czas na kursie chcieli wykorzystać jak najlepiej.

Po egzaminie — chcąc omówić jeszcze niektóre sprawy, co w przepelnionym zawsze tramwaju warszawskim byłoby niemożliwe — wracaliśmy z Mikitą piechotą. Przy Banku Gospodarstwa Krajowego skręciliśmy w Nowy Świat, kierując się w stronę Krakowskiego Przedmieścia.

Zajęci rozmową, nie zauważyliśmy, że zbliża się w naszą stronę patrol żandarmerii. Kilku młodych ludzi już stało zatrzymanych. Nie mieliśmy już czasu na chwilowe ukrycie się w jakiejś bramie. Pozostało nam więc tylko spotkanie z patroliem. Rozeszliśmy się, uważając, że w takich wypadkach lepiej pozostać samemu.

W chwilę potem zostałem przez patrol zatrzymany. Po rewizji (jak się zdołałem zorientować, poszukiwano broni) i stwierdzeniu na podstawie dokumentów (oczywiście fałszywych), że jestem kontrolerem liczników elektrowni miejskiej, puszczono mnie. O kilka kroków z mną stał, z podniesionymi w górę rękami, Mikita. Twarz jego była bardzo blada, co podkreślały jeszcze wąsy, które nosił w tym czasie. Zauważyłem, że żandarm przegląda jakieś papiery wyjęte z teczki, którą Mikita trzymał w podniesionej ręce. Czy nie jest to przypadkiem spis uczniów? Chyba jednak nie. Nie zauważyłem przecież, aby Mikita przed wyjściem zabrał z sobą jakieś papiery.

Wszedłem do pierwszej napotkanej bramy, chcąc zobaczyć, czy Mikita zostanie zabrany przez żandarmów. Przez szparę w uchylonej bramie widziałem, jak jeden z nich przeglądał — uważnie, długo — trzymane w rękę papiery, stawiając Mikicie szereg pytań. Ostatecznie jednak zwrócił mu wszystko i gwałtownym gestem dał mu do zrozumienia, że może odejść. Mikita zdjął czapkę, coś powiedział i zwrócił się w moją stronę powolnym, ciężkim krokiem. Patrol udał się w kierunku Alei Jerozolimskich i za chwilę znikł za zakrętem.

Gdyśmy się spotkali, Mikita niezupełnie jeszcze wrócił do równowagi. Powtarzał co chwila:

— A to dziwna historia!

— Jaka historia? Powiedz nareszcie! — nie wytrzymałem.

— Widzisz — odrzekł, już uspokojony — wychodząc z egzaminu, zabrałem spis sprzętu lotniczego, używanego przez nasze dywizjony w Anglii, chcąc go oddać memu oficerowi w bazie, szkolącej również mechaników lotniczych. Instrukcję tę włożyłem do teczki. Zawsze mam zwyczaj niebezpieczne papiery trzymać raczej na wierzchu; w ten sposób już nieraz udało mi się zmylić czujność żandarmów przy rewizji. Instrukcja, którą Niemiec wyjął z teczki, zaciekaowała go ogromnie i dlatego przeglądał ją tak długo. Znał przy tym doskonale język polski. W pewnym momencie zapytał: — Do jakiej należysz organizacji? — Do AK — odpowiedziałem — nie było bowiem sensu zmyślać jakieś historyjki. Żandarm popatrzył na mnie przez chwilę i powiedział spokojnie: — Miałeś pan szczęście. A teraz zjeżdżaj a szybko! — Jakoś automatycznie zdjąłem czapkę z głowy i powiedziałem: — Niech Bozia wynagrodzi... — Nie bardzo mu dowierając, spodziewałem się w każdej chwili strzału w plecy. Nawet wołałbym to, niż badanie w Gestapo... Widzisz — ciągnął po pauzie — moje zdenerwowanie wpływa nie tylko z tego, że zostałem zatrzymany i że znaleźli przy mnie „kompromitujące“ papiery. Fakt, że mnie puszczono, jest chyba jeszcze bardziej zaskakujący. Czuję się, jak po przebyciu dalekiej, bardzo męczącej podróży...

Nie pytałem o nic więcej. Rzeczywiście, zachowanie się żandarma było zdumiewające. Musiała to być chyba nasza „wtyczka“ — innego wytłumaczenia nie umiem znaleźć.

Przy Miodowej rozchodziły się nasze drogi.

— Muszę iść do kościoła i podziękować Panu Bogu, że jeszcze chodzę po ziemi — powiedział Mikita na odchodnym.

Rzeczywiście, miał za co dziękować Opatrzności.